

BEZ
PRZEDAWNIENIA
§

TOMASZ KIN

**BEZ
PRZEDAWNNIENIA**

§

Copyright © by Tomasz Kin
Copyright © by Ringier Axel Springer
Polska Sp. z o.o.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 52
02-672 Warszawa

Projekt okładki:

Joanna Gwis

Korekta:

Jolanta Kucharska

Zdjęcie Tomasza Kina:

Mateusz Nasternak

Zdjęcia w książce:

Fotolia, archiwum autora

Druk i oprawa:

Drukarnia TINTA w Działdowie

ISBN 978-83-8091-531-2

Warszawa 2017

www.ringieraxelspringer.pl



WSTĘP



Policjanci często powtarzają: tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się policja. To zabawna, czasem gorzka metafora polskiego prawa i obecnej kondycji tej gigantycznej firmy. Nie zniechęca jednak stróżów prawa, żeby kreatywnie i niezłomie wywiązywali się z podstawowych zadań, czego oczekuje od nich społeczeństwo. Mają łapać bandytów. Przed trzydziestoma laty skuteczność policji była znacznie mniejsza. Zbrodni niewyjaśnionych z wielu powodów, o których opowiem, jest w Polsce około dziewięciuset. Stały się społecznym wyrzutem sumienia. Dzięki powołaniu Zespołów do spraw Niewykrytych, korzystających z nowych technologii i działających w myśl starej policyjnej zasady: nigdy nie odpuszczać, udało się ów wyrzut sumienia nieco zagłuszyć, ale nie całkowicie się go pozbyć.

Przystępując do pracy nad tą książką, chciałem opisać największe sukcesy Zespołów do spraw Niewykrytych, zwanych bardziej medialnie polskim Archiwum X. Pragnąłem dowiedzieć się, w jakich okolicznościach zostały powołane do życia, oraz przekonać, kto w nich pracuje. Policja początkowo wydawała mi się ponurą instytucją, ale pokonując kolejne bariery, odkryłem, że pracuje w niej wielu uczciwych, dziarskich i serdecznych ludzi, którzy pomogli mi zrozumieć, jak wygląda ich rzeczywistość. Dotarłem do policjantów zajmujących się jednym z bodaj najbardziej rajcujących nasze społeczeństwo tematów, jakim są stare niewyjaśnione zbrodnie. Okazali się ludźmi zasad, dumnymi z tego, że wykonują fascynujący zawód, który naprawdę ma znaczenie.

Pół życia karmiłem się filmami, serialami i książkami z wątkiem kryminalnym. I choć nie mogłem nazwać siebie kryminalistycznym ekspertem amatorem, podjąłem się opisania policyjnego świata. Za tą decyzją stały nie tylko moja ogromna nieskrępowana ciekawość i immanentna potrzeba poznawania nowych ludzi, ale także fakt, że w przeszłości miałem już do czynienia z organami ścigania.

Liczyłem sobie jedenaście wiosen, gdy podczas obozu harcerskiego w bieszczadzkiej stancy Olchowiec poznałem człowieka, który, co zrozumiałem po wielu latach, miał na mnie niemały wpływ. Pechowo trafiliśmy na deszczowe lato, które zapowiadało karcianą nudę z rzęzącym radiomagnetofonem, zasilanym na wpół wyczerpanymi bateriami R20. Okazało się, że jeden z namiotów zajmował Paweł, zięć koleżanki mamy, policjant z grupy dochodzeniowej z Krakowa. Szybko obsiedliśmy go z chłopakami żądni opowieści kryminalnych. Facet nie potraktował nas jak dzieci, tylko niemal równych sobie kumpli, czym natychmiast zyskał w naszych oczach jeszcze większy szacunek. Mówił o swojej pracy, snuł niesamowite opowieści, a my byliśmy wdzięcznym audytorium. Jego historie były lepsze niż wszystkie ogniska

i komiksy razem wzięte, bo prawdziwe. Trupy, pościgi, naloty i przesłuchania. Paweł zapytał nas, czy wiemy, co trzeba zrobić, „gdy klient fika”, czyli w policyjnym żargonie: zatrzymany bandyta macha nożem albo w inny sposób zagraża policjantom. Kazał nam wyprostować ręce tak, jak byśmy mieli założone kajdanki, po czym mocno uderzył swoimi dłońmi z obu stron w nasze nadgarstki. Bolało jak cholera. Kiedy uświadomiliśmy sobie, co by było, gdyby nasze ręce naprawdę były zakute w kajdanki, zrozumieliśmy powagę sytuacji i to, że po takiej akcji każdy, najtwardszy nawet kozak, przestanie stawiać opór.

Dziś takie zachowanie policjanta skończyłoby się pewnie oskarżeniem przez zatrzymanego, ale wówczas gliniarze byli twardzielami, bo bandyci stanowili prawdziwe niebezpieczeństwo. Potwierdzili to zresztą niemal wszyscy moi rozmówcy, których poznałem w jednostkach wojewódzkich. Po dwudziestu sześciu latach odnalazłem Pawła. Był już na policyjnej emeryturze. Jakież było jego zaskoczenie, gdy opowiedziałem mu, że przygotowuję książkę o policji i pamiętam, co opowiadał nam w Bieszczadach. Dowiedziałem się od niego, jakie znaczenie miały kiedyś słowo dane przez policjanta, wspólna praca w terenie i wsparcie przełożonych. Z jego opowieści wyłonił się świat wyblakłych obecnie zasad i serdecznego braterstwa broni, które bezpowrotnie zniknęło, co smuci wielu byłych detektywów.

Kolejne w moim życiu policyjno-prokuratorskie spotkanie zdarzyło się w rodzinnym Tarnobrzegu. Gdy szedłem do szkoły, zauważyłem samochód wujka stojący przed blokiem, w którym mieszkał. Zdziwiłem się bardzo. Przecież zawsze o tej porze wujek, kierownik w ZUS-ie, porządkował już świat. A że był przykładem sumienności i pracoholizmu, nigdy nie spóźniał się do pracy. Pomyślałem, że może jest chory, więc zastukałem do drzwi mieszkania na pierwszym piętrze. Były zamknięte, chociaż ze środka dochodził dźwięk telewizora. Szarpnąłem za klamkę

i zawałałem. Nikt nie odpowiedział. Pobiegłem więc do mamy, która prowadziła zajęcia w domu kultury nieopodal. Powiedziałem jej, że coś jest nie tak. Dostałem komplet kluczy do mieszkania wujka i polecenie, aby sprawdzić, co się dzieje. Wróciłem do mieszkania, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Wujek siedział martwy w fotelu przed telewizorem. Wyglądał, jakby spał, ale plamy opadowe na jego skórze szybko rozwiały moje nadzieje. Starąłem się być dorosły i opanowany. Nie krzyczałem ani nie wybiegłem w popłochu, tylko powstrzymując drżenie rąk, wybrałem na tarczy telefonu 999. Powiedziałem do słuchawki, że znalazłem martwego wujka w jego domu, podałem adres, a czekając na przyjazd karetki, wezwałem starszego brata. Po kilkunastu minutach zjawił się lekarz, który stwierdził zgon i stężenie pośmiertne. Potem, nie wiadomo skąd, pojawił się w progu tęgi facet z brodą i zapałką w ustach. Policjant. Przeszedł po mieszkaniu i wypytał mnie, kim jestem, co się stało i kim jest wujek. Notował wszystko w małym kapowniku. Po chwili stwierdził, że wyklucza udział osób trzecich i pozwolił na zabranie ciała. Do mieszkania wkroczyli wówczas ludzie, których moi rozmówcy nazywali „zimnym pogotowiem”. Włożyli wujka do olbrzymiego plastikowego worka, ułożyli na noszach i wyszli.

Rekonstruując całe to zajście podczas prac nad tą książką, dowiedziałem się od mamy, że mój brat musiał pisać specjalne oświadczenie, aby prokurator odstąpił od sekcji zwłok, skoro udział osób trzecich został kategorycznie wykluczony. Nigdy też nie zapomnę wyrazu twarzy taty, któremu tuż po powrocie z pracy powiedziałem, co się stało. To był wyjątkowo trudny rok, bo kilka miesięcy później zmarł także mój ojciec.

Przypomniałem sobie również swoje trzecie spotkanie z organami ścigania pod koniec stycznia 2001 roku. W niedzielny wieczór wróciłem z kina. Drzwi mieszkania w kamienicy przy ulicy Kijowskiej w Krakowie, gdzie podówczas mieszkąłem, były

uchylone. Dziwne. Po przekroczeniu progu zastałem splądrowane pomieszczenia i wybite okno balkonowe. Złodzieje zabrali wszystko, nawet zawartość lodówki. Zniknął sprzęt RTV i AGD, skradziono wszystkie moje rzeczy osobiste. Ostały się jedynie wielka chłodziarka i ciężka pralka. Wezwałem natychmiast policję. Pojawiło się dwóch panów: dochodzeniowiec i technik. Jeden mnie przepytował i kazał określić wartość skradzionych rzeczy, drugi starał się znaleźć jakieś ślady. Złodzieje w swojej łaskawości oszczędzili mój dowód osobisty i karty kredytowe. Mogłem się przynajmniej wylegitymować. Policjanci przytomnie zauważyli, że plastiku kart mógł ktoś dotykać, więc pędzłem z marabuta technik naniósł cienką warstwę proszku daktyloskopijnego i po chwili pojawiły się wyraźne odciski. Wówczas wydawało mi się to odkryciem na miarę wynalazków Edisona.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że jestem dla funkcjonariuszy tylko kolejną drobnicą i mimo małej szkodliwości czynu będą musieli wypełniać mnóstwo policyjnych kwitów. Dwa tygodnie później otrzymałem list polecony, w którym poinformowano mnie, że prowadzone przez starszego posterunkowego Henryka Wiaderko śledztwo zostało umorzono z powodu braku śladów umożliwiających wykrycie sprawcy.

Nie wiedziałem, że właśnie wtedy zaczął powstawać w komendach system automatycznej identyfikacji AFIS. Dla policji nastawały nowe czasy. Karty daktyloskopijne nie tylko niezidentyfikowanych sprawców, ale też osób kiedykolwiek zatrzymanych były wprowadzane do komputera, aby system mógł porównywać ślady NN (jak te z moich kart kredytowych) z „paluchami” konkretnych przestępców, od których również pobrano odciski. Do 2005 roku AFIS był już standardem w każdej większej jednostce policyjnej. Dzięki systemowi stało się możliwe badanie starych śladów. Szybko pojawiły się wyniki, co bezpośrednio przyczyniło się do powołania

zespołów zajmujących się sprawami niewyjaśnionymi zalegającymi w archiwach od lat.

Zanim na potrzeby niniejszej książki wyruszyłem w trasę po Polsce, aby poznać policjantów pracujących w komórkach Archiwum X działających przy komendach wojewódzkich i dowiedzieć się wszystkiego o ich pracy, złożyłem honorową obietnicę. Podczas pierwszej rozmowy z rzecznikiem komendy głównej, w którego gabinecie miałem wrażenie, że wpadam w króliczną norę, dałem słowo, że po zgromadzeniu niezbędnego materiału nie będę polemizował z metodami policyjnymi i postaram się ukazać funkcjonariuszy w przyjaznym świetle. Zastrzegłem jedynie, że jeśli policjanci zdecydują się na uwagi krytyczne, nie będę ich ugładzał i w żaden sposób cenzurował. Zależało mi bowiem, żeby w książce znalazły się najgłośniejsze, skomplikowane i wymagające kryminalnego talentu sprawy, które od pierwszych miesięcy powołania Zespołów do spraw Niewykrytych przyszło policjantom rozwiązywać.

Nie chciałem zostawać sam na sam z opasłymi aktami śledztw, ponieważ umiejętność ich czytania i wyciągania niezbędnych wniosków zdobywa się latami. Poza tym to wyjątkowo nudne zajęcie. Bardzo łatwo przepaść w magmie informacji, wyciągając wyrwane z kontekstu fragmenty pozwalające snuć prywatne teorie i zacierać właściwy obraz wydarzeń. Nadinterpretacje i przeinaczenia są szkodliwe. Właśnie one nadszarpują wizerunek polskich organów ścigania.

Mimo wrodzonej zdolności do przełamywania lodów czułem na początku lekki dystans, z którego byłem obserwowany. Mozolnie pracowałem na zaufanie. Rozmowy z prokuratorami czy detektywami, najpierw pełne rezerwy, przeradzały się w serdeczne i fascynujące wielogodzinne dysputy. Stopniowo poznawałem zasady i metody, taktykę i niuanse pracy dochodzeniowo-śledczej. Interesowało mnie praktycznie wszystko, zwłaszcza polska rzeczywistość sprzed

trzydziestu lat. Tyle właśnie trzeba, aby stare zagadki kryminalne przedawniły się i zostały zmielone, pozostając jedynie w pamięci świadków, rodzin i oficerów.

Miałem okazję rozmawiać z emerytowanymi policjantami, których okres świetności zawodowej przypadał na czasy przed transformacją ustrojową w 1989 roku. Spotykałem się z wciąż czynnymi stróżami prawa, zbliżającymi się do emerytury i mającymi porównanie starych z obecnymi realiami. Stałem oko w oko z najmłodszym pokoleniem detektywów, o których powstają obecnie kinowe hity. Dzięki tym rozmowom mogłem dowiedzieć się, jak zmieniały się społeczne nastawienie wobec policji i dynamika śledztw. Dlatego sporo miejsca w swojej książce poświęciłem temu, w jaki sposób transformacja ustrojowa wpłynęła na cały system policyjny, dając służbom kryminalnym zupełnie nowe możliwości badania śladów i gromadzenia dowodów. Chciałem pokazać, jak działa machina polskiego systemu sprawiedliwości, często kalekiego, w którego hierarchii policjant znajduje się na samym dole. A przecież to osoba kluczowa w procesie dochodzenia do prawdy. Dowiedziałem się także, dlaczego niektórzy policjanci uważają, że w tej pracy potrzebne jest szczęście, a inni twierdzą, że w wyjątkowo niewdzięcznym zawodzie dochodzeniowca nie istnieje coś takiego jak szczęście.

Zebrany materiał starałem się zaprezentować z różnych perspektyw. Oprócz odtworzenia przebiegu śledztw dotyczących morderstw na tle rabunkowym, seksualnym, a czasem popełnionych bez powodu w książce pojawiły się rozmowy z detektywami i wybitnymi specjalistami w dziedzinach genetyki, daktyloskopii i analizy policyjnej.

Miałem dostęp do akt śledztw rozwiązanych, w których sprawców wykryto i skazano prawomocnymi wyrokami. Kilka historii może wydać się znajome, ponieważ gdy popełniono zbrodnie,

było o nich głośno w mediach. W rozmowie z detektywami Archiwum X w Gdańsku powróciłem do morderstwa aptekarki ze Słupska, rekonstruowanego w programie „Magazyn Kryminalny 997” Michała Fajbusiewicza. Opisałem także wieloletnie śledztwo w sprawie jednej z najsłynniejszych polskich kradzieży dzieł sztuki. Starłem się wytłumaczyć, dlaczego tak wiele zagadek kryminalnych wciąż pozostaje nierozwiązanych i jak udaje się dopaść sprawców po kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu latach.

Książkę tę dedykuję wszystkim detektywom, z którymi miałem okazję się spotkać, a także tym, którzy nie mieli czasu na rozmowy, bo „szarpiąc nowe ślady, wchodzą właśnie klientom na łeb”, przybliżając się nieuchronnie do ich zatrzymania.

Przedstawione w książce wydarzenia miały miejsce naprawdę. Dla ochrony prywatności oraz ze względów bezpieczeństwa personalia detektywów oraz osób związanych z opisanymi zajściami zostały zmienione, podobnie jak nazwy ulic i niektórych miejsc. Wszystkim podejrzewanym przysługuje prawo domniemanej niewinności, aż do ostatecznego wyroku sądu.



GDAŃSK
– ZABÓJSTWO 10-LETNIEGO
MARCINA W LISEWIE MALBORSKIM
I 11-LETNIEGO SEBASTIANA
W ŁĘGOWIE



2002 rok

Pierwsze dni września, dziesięcioletni Marcin wracał rowerem z domu dziadków w Starej Wiśle do Lisewa Malborskiego. Na drodze zobaczył mężczyznę. Był ubrany na czarno, jechał „górale”. Minął chłopca, ale po chwili zszedł z roweru i zatrzymał Marcina. Poprosił o pomoc przy naprawie obłuzowanego łańcucha. Żeby nie stwarzać zagrożenia na drodze, obaj rowerzyści poszli w stronę pobliskiego pola. Gdy nieznajomy mocno ujął Marcina za nadgarstek, chłopiec instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo i chciał się wyswobodzić. Zaczął krzyczeć, ale silny

mężczyzna nie dał mu szans. Stojąc za plecami dziesięciolatka, przycisnął go do swojej klatki piersiowej, wyciągnął nóż i zadał ciosy w brzuch i piersi. Żeby upewnić się, że chłopiec zmarł, próbował poderżnąć mu gardło. Nóż był jednak zbyt tępy, dlatego wbił go w szyję ofiary. Potem wyrzucił narzędzie zbrodni w krzaki, wsiadł na rower i popędził z powrotem w kierunku Tczewa. Ciało dziesięciolatka odnaleziono już po 30 minutach. Kobieta, która przejeżdżała drogą, zobaczyła porzucony rower. Sądziła, że doszło do wypadku: samochód potrafił rowerzystę i kierowca zbiegł, co zdarzało się często. Kilka metrów za rowem znalazła chłopca leżącego na ściernisku.

W wyniku pracy operacyjnej podczas dochodzenia, które kilkadziesiąt godzin po zabójstwie wszczęła prokuratura, jako podejrzany został wytypowany Tomasz Kułaczewski. Mieszkał w sąsiedniej wsi, nie był w pełni sprawny umysłowo. Pytany o związek z zabójstwem wziął winę na siebie, choć tłumaczył się nieprecyzyjnie, a jego zeznania nie opisywały tego, jak w rzeczywistości doszło do morderstwa. Chodziło przede wszystkim o sposób zadawania ran. Jakby tego było mało, powołani świadkowie dali alibi zatrzymanemu mężczyźnie. Zbrodnia była jednak tak bulwersująca, że machina wymiaru sprawiedliwości raz wprawiona w ruch się nie zatrzymała. Chociaż istniały uzasadnione wątpliwości co do winy podejrzanego, prokurator, który nie dysponował żadnymi materiałami w postaci śladów daktyloskopijnych czy biologicznych, umiejętnie pokierował aktem oskarżenia. Biegli powołani w sprawie orzekli, że Kułaczewski nie potrafił właściwie przewidzieć odległych konsekwencji swojego działania. Proces przebiegł bardzo szybko i skończył się wyrokiem, 15 lat pozbawienia wolności. Dwunastego listopada 2003 roku Kułaczewski został skazany za zabójstwo Marcina w Lisewie Malborskim.

2005 rok

Pierwsze dni jesieni. W Łęgowie z pociągu wysiadł mężczyzna. Poszedł w kierunku małej rzeki. Przy jej brzegu dostrzegł chłopca łowiącego ryby. Dziecko nie miało wędki, jedynie kawałek deski z przyczepioną żyłką z haczykiem. Mężczyzna dosiadł się do Sebastiana (tak miał na imię jedenastoletni wędkarz), pochwalił własnoręcznie wykonany sprzęt. Po kilkunastu minutach rozmowy wskazał ciekawe „ruiny” w pobliżu. Sebastian poszedł z nieznanym sprawdzić, co kryje się w zniszczonym budynku. Tuż po wejściu do środka mężczyzna zdarł z chłopca bluzę razem z koszulką. Sebastian zaczął krzyczeć, więc napastnik zatkał mu usta dłonią. Potem usiadł na klatce piersiowej jedenastolatka, przytrzymując ramiona kolanami. Szarpanina trwała krótko. Dziecko straciło dostęp powietrza i zemdłało. Mężczyzna był pewny, że kiedy chłopak oprzytomnieje, opowie o tym, co zaszło i z pewnością go rozpozna. Wyciągnął więc z plecaka nóż myśliwski i zadał Sebastianowi kilkanaście ciosów. Na koniec przeciął krtań swojej ofiary drugim, mniejszym, kuchennym nożem. I opuścił miejsce zbrodni.

Rolnik w traktorze najpierw zobaczył mężczyznę z kitką wybiegającego w pośpiechu ze zniszczonego budynku, potem znalazł zmasakrowane ciało chłopca. Natychmiast pojechał do domu, żeby zawiadomić policję. A morderca wrócił już do Łęgowa. Udało mu się zatrzymać szkolnego busa wypełnionego dziećmi. Poprosił o podwiezienie. Zdażył na pociąg do Tczewa.

Policja szybko opracowała rysopis sprawcy: broda, długie związane włosy, spodnie moro, plecak. Portret został rozesłany do wszystkich okolicznych jednostek. Rozpoczęła się obława. Trop wiódł do pociągu relacji Gdańsk–Tczew. Zanim skład zatrzymał

się na stacji docelowej, policja czekała na poszukiwanego na peronie. Było późne popołudnie. Sporo ludzi wracało po pracy do domu. W tłumie opuszczającym peron dostrzeżono mężczyznę wyglądającego identycznie jak ten poszukiwany z rysopisu. Został zatrzymany. W plecaku miał dwa zakrwawione noże. Nazywał się Piotr Trojak. Sąd Apelacyjny w Gdańsku zgodził się na upublicznienie imienia i nazwiska zabójcy w 2014 roku.

Tuż po przewiezieniu mężczyzny na komendę, w trakcie rozpytania (nie jest to formalne przesłuchanie przez prokuratora, po którym stawia się twarde zarzuty) policjanci zapytali, czy to jego pierwsze morderstwo. Trojak bez najmniejszego oporu przyznał, że nie i bardzo dokładnie opisał, co wydarzyło się trzy lata wcześniej w Lisewie Malborskim. Nikt z rozmawiających z zatrzymanym policjantów nie znał szczegółów tamtej zbrodni. To inne powiaty, w innym układzie administracyjnym jednostek policji.

Detektywi podjęli czynności w sprawie teoretycznie zakończonego dochodzenia. Z akt wynikało, że podczas śledztwa prowadzonego w 2002 roku sporządzono portret pamięciowy człowieka, który przejeżdżając rowerem przez wieś, był widziany przez wiele osób. Tradycyjny układ zabudowań przy głównej drodze przebiegającej wzdłuż całego Lisewa umożliwił mieszkańcom przyjrzenie się nieznajomemu. Świadkowie zeznali także, że widzieli Marcina jadącego w stronę Lisewa i mężczyznę nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Nikt nie widział morderstwa. Kilkanaście minut później te same osoby, które zauważyły rowerzystę jadącego przez wieś, obserwowali go ponownie, jak w pośpiechu wracał w stronę mostu w Tczewie. Był ubrany w sposób charakterystyczny dla subkultury metalowców.

Kiedy po niemal czterech latach sprawa wróciła na wokandy, podczas drugiego procesu sąd przyznał się do całkowitej porażki wymiaru sprawiedliwości. Wobec domniemanego sprawcy z 2002 roku umorzono wszystkie zarzuty i wypuszczono na wolność.

Ósmego czerwca 2006 roku przed bramą więzienną zgromadzili się reporterzy, żeby zobaczyć, jak wygląda człowiek niesłusznie skazany za morderstwo. Jego wyjście na wolność relacjonowały wszystkie dzienniki informacyjne i rozgłośnie. Stawiając pierwszy krok za progiem więzienia, Kułaczewski zaczął śpiewać: „Niech żyje wolność i swoboda”. Do wystawionych w jego kierunku mikrofonów i kamer powiedział: „Na początku musiałem wypijać wszystko, co mi dawali. Podawali mi straszne napoje, tam było wszystko, płyn do mycia naczyń, pasta do butów i wszystkie możliwe chemikalia”.

Tomasz Kułaczewski otrzymał zadośćuczynienie za gehennę, którą jako zabójca dziecka przeszedł w więzieniu. Skarb Państwa wypłacił mu 300 tysięcy zł. Nikt nie poniósł kary za skazanie mężczyzny i wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządzono.

Po zeznaniach dotyczących zamordowania Sebastiana doszło do eksperymentu procesowego z udziałem zabójcy. Podczas wizji lokalnej Trojak ze szczegółami opisał przebieg zajścia. Przedstawione detale pasowały idealnie i uzupełniały wiedzę policji i prokuratury. Podczas postępowania dotyczącego zabójstwa pod Łęgowem Trojak skorzystał z prawa do adwokata. Kiedy pojawił się jego obrońca, nieoczekiwanie zmienił zeznania. Wyparł się wcześniejszej zbrodni. Twierdził, że był jedynie jej świadkiem. Widział całe zajście, ale się bał i nie zareagował. Opisał nawet lakonicznie zmyśloną postać mordercy. Wiedział doskonale, że zgromadzone dowody w sprawie zabójstwa Sebastiana były miażdżące. Zaprzeczanie nie miało sensu. Jednak w kwestii morderstwa sprzed trzech lat, poza zeznaniami świadków, którzy widzieli, że jechał na rowerze (ale nie widzieli, jak zabijał), i poza pierwszymi zeznaniami, z których się wycofał, nie istniał żaden materiał dowodowy. Prokurator, mimo okazania i przyznania się Trojaka do winy podczas pierwszego przesłuchania, nie zdecydował się skierować aktu oskarżenia do sądu.

W listopadzie 2007 roku prof. Zbigniew Lew-Starowicz, powołany jako biegły, stwierdził, że Trojak dokonał mordu na skutek zaburzeń preferencji seksualnych. Seksuolog rozpoznał u trzydziestolatka zaniżoną samoocenę męskości wynikającą z nielicznych doświadczeń seksualnych z kobietami i nieudanego związku. Sąd okręgowy w Gdańsku wydał wyrok dożywotniego pozbawienia wolności z możliwością przedterminowego zwolnienia po 30 latach. Wciąż jednak nie było winnego morderstwa Marcina. Sprawa z 2002 roku na kolejne lata trafiła do kryminalnej zamrażarki.

2011 rok

W Archiwum X rozpoczął pracę policjant, który w 2005 roku prowadził postępowanie w sprawie zabójstwa jedenastoletniego Sebastiana. Chciał udowodnić Trojakowi zabójstwo w Lisewie. Doskonale pamiętał, że w piątek 30 września tuż przed końcem pracy, około godziny 15.00 dostał wezwanie na oględziny miejsca zbrodni. Żaden z policjantów nie kwapił się do pracy przy zabójstwie dziecka. Decydował rzut monetą. Prace na miejscu zdarzenia wraz z pierwszymi czynnościami, takimi jak przepytanie świadków i zabezpieczanie śladów, przesłuchanie podejrzanego i wizja lokalna, trwały cały weekend.

W tym czasie w prokuraturze okręgowej powstał zespół analiz, który niezależnie od policji próbował rozwikłać sprawę. Wnioski z jego pracy trafiły do detektywów Archiwum X. Były dość oczywiste i wskazywały na błędy popełnione przy pierwszym śledztwie. Spostrzeżenia analityków dotyczyły okazania Trojaka mieszkańcom Lisewa (wielu rozpoznało go bez cienia wątpliwości), sposobu poruszania się rowerem przed zabójstwem

i po nim oraz szczegółowego opisu przebiegu morderstwa, jakie przedstawił w 2005 roku tuż po zatrzymaniu. Dodatkowo policjanci dysponowali opinią biegłego z zakładu medycyny sądowej potwierdzającą, że obrażenia chłopca mogły powstać właśnie w taki sposób, jak to opisał Trojak. Ich mechanizm odpowiadał wynikowi sekcji zwłok. Dodatkową trudnością był całkowity brak dowodów rzeczowych. Sąd okręgowy w Gdańsku po pierwszym wyroku skazującym niewinnego mieszkańca okolic Lisewa nakazał zniszczenie dowodów rzeczowych, czyli noża znalezione na miejscu zbrodni w rowie melioracyjnym i rowerze należącego do zamordowanego chłopca. Nóż został zutylizowany, rower wydano rodzinie Marcina. Nie wiadomo, dlaczego tak się stało, tym bardziej że sprawca dotykał kierownicy, co udowodnili detektywi Archiwum X. Nie zdziwili się, kiedy okazało się, że rower przywołujący traumatyczne wspomnienia został zniszczony przez ojca chłopca. Podjęli ostateczną próbę połączenia Trojaka z tą zbrodnią. Jego wina była przecież oczywista.

Najpierw zweryfikowali, czy Trojak opowiedział komuś o swoich morderstwach. Po zatrzymaniu miał kontakt z innymi osadzonymi w areszcie śledczym, a później w zakładzie karnym. Przesłuchano stu mężczyzn. Trzech z nich zeznało, że owszem, Trojak opowiadał o swoich dwóch zabójstwach. Nie był to żaden kluczowy dowód, ale w opinii śledczych Archiwum X sprawa zaczęła się krystalizować. Stwierdzili, że muszą ponownie pochylić się nad najważniejszym dowodem, czyli nożem z miejsca zbrodni. W aktach zachowała się jego fotografia.

Zdjęcie maksymalnie powiększono. Podczas pierwszego przesłuchania Trojak szczegółowo opisał nóż, którego użył do zabójstwa. Zrobił go własnoręcznie. Duże ostrze z założoną rękojeścią z dwóch deseczek owiniętych sznurkiem. W trakcie zeznań opowiadał, że na sznurku znajdowały się kawałki zaprawy murarskiej. Detektywi szukając punktu zaczepienia, pokazywali zdjęcia noża

wszystkim, którzy mieli kontakt z dowodami rzeczowymi podczas pierwszego śledztwa w 2002 roku. Byli to głównie policjanci z Lisewa i biegli poddający nóż specjalistycznym badaniom. Jeden z nich wspominał, że istotnie na sznurku owijającym rękojeść były drobiny gipsu.

Jeden z detektywów, który w 2005 roku uczestniczył w przeszukaniu posesji Trojaka (był to specyficzny dom połączony ze starym holenderskim wiatrakiem) w sprawie zabójstwa Sebastiana, zapamiętał, że widział tam linkę odpowiadającą sznurkowi na badanej rękojeści. Posesja Trojaka w Tczewie została jeszcze raz sprawdzona. Poszukiwana linka wciąż wisiła na tarasie jako sznur na bieliznę. Została zabezpieczona. Śledczy powołali



Pracownia daktyloskopijna dziś. Każda z kart z odciskami linii papilarnych jest badana godzinami, a bywa, że latami.

biegłego z zakresu mechanoskopii, żeby porównał ją ze zdjęciem noża, którym zabito Marcina. Linkę rozłożono na części pierwsze, a biegły wydał kategoryczną opinię, że barwy, sploty i wszystkie cechy odpowiadają dowodowi na zdjęciu.

To kolejny punkt zaczepienia. Niewinnie skazany Kułaczewski nie miał pojęcia o narzędziu zbrodni, które Trojak trzy lata później opisał na tyle szczegółowo, że pozwoliło to przeprowadzić dokładną analizę przebiegu zbrodni i określić, jak morderca zadawał śmiertelne rany.

Kolejnym elementem dochodzenia była drobiazgowość analiza czasu, kiedy świadkowie w Lisewie widzieli jadącego na rowerze Trojaka. Policjanci udali się na miejsce zbrodni, żeby



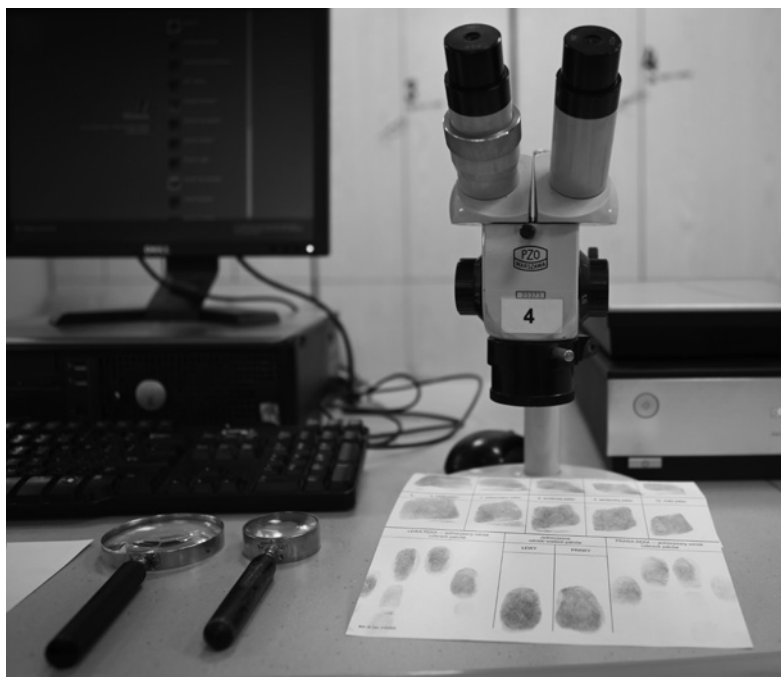
Mimo zaawansowanych systemów do identyfikacji wciąż podstawowymi narzędziami biegłego w laboratorium daktyloskopijnym są lupa i mikroskop.

przeprowadzić eksperyment. Trojak był widziany w Lisewie około godziny 15.00 i 30 minut później, kiedy wracał. Detektywi wsiadli na rowery i dwa razy w średnim tempie przebyli cały dystans, sprawdzając, czy czas potrzebny na pokonanie tej odległości pokryje się z zeznaniami świadków. Udało się. Nie było wątpliwości, że Trojak potrzebował dokładnie tyle czasu, żeby dokonać zabójstwa i wrócić tą trasą. Z eksperymentu wynikało także, że było mało prawdopodobne, aby na miejscu zbrodni pojawił się ktoś jeszcze, co mogłoby podważać winę sprawcy.

Ostatnim dowodem do gromadzonego materiału procesowego była opinia analizująca oba zabójstwa, przesłana do Gdańska przez krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych. Psycholodzy, opierając się na zeznaniach ludzi ze środowiska Trojaka oraz danych zgromadzonych przez prokuraturę, określili jednoznacznie, że morderstwa popełniła ta sama osoba. Działania detektywów pozwoliły prokuraturze podjąć nowe postępowanie. Decyzję o przedstawieniu zarzutów wydano niemal natychmiast. Policjanci pojechali do Trojaka, który odbywał już karę w Starogardzie Gdańskim. Przy dodatkowej eskorcie funkcjonariusza konwojowego, zakuty w kajdanki i w więziennym drelichu, został przewieziony do prokuratury okręgowej w Gdańsku. Nie przypominał groźnego mordercy. Wydawał się przeciętnym, niczym niewyróżniającym się młodym mężczyzną. Całą drogę milczał, ale wiedział już, o co chodzi. Prawdopodobnie dotarła do niego informacja, że kilka tygodni wcześniej detektywi przesłuchiwali więźniów zakładu karnego i aresztu śledczego, z którymi mógł mieć kontakt.

Pierwsza wizyta w prokuraturze nie przyniosła rezultatu. Trojak nie przyznawał się do zabójstwa sprzed dekady. Standardowo pobrano od niego krew, odciski na karcie daktyloskopijnej i sfotografowano. Został także poddany badaniu wariografem.

Po dwóch tygodniach napisał do prokuratury list z więzienia, prosząc o spotkanie, zmienił bowiem zdanie i chciał zeznawać. Detektywi uznali, że prawdopodobnie coś w nim pękło, choć trudno przypuszczać, żeby ruszyło go sumienie. Być może uznał, że współpraca będzie okolicznością łagodzącą. Błyskawicznie zorganizowano ponowny konwój i przetransportowano skazanego do prokuratury w Gdańsku. Przesłuchanie było nagrywane. Zabójca utrzymał swoje zeznania sprzed sześciu lat. Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiedział, że poczuł taką potrzebę, kiedy



Używając tego sprzętu, Muzeum Narodowe w Poznaniu odzyskało obraz jedynego impresjonisty w polskich zbiorach. Biegłemu po dziewięciu latach pracy udało się zidentyfikować wyjątkowo niewyraźne odciski i znaleziono złodzieja.

zobaczył nadjeżdżającego z przeciwnej strony Marcina. W trakcie przesłuchań twierdził, że był zafascynowany okultyzmem, jednak detektywi nie przywiązywali do tych rewelacji większej wagi. Biegli orzekli u Trojaka głębokie skłonności sadystyczne i pedofilskie z problemem określenia orientacji seksualnej i osobowością nieprawidłową. Wydali tę opinię głównie na podstawie materiałów z drugiego zabójstwa. Dokonał go z powziętym zamiarem zgwałcenia, które się nie udało, dlatego zabił schwytanego chłopca. W chwili popełniania obu morderstw był w pełni poczytalny.

Trojak pochodził z przeciętnej rodziny, niewyróżniającej się skłonnościami patologicznymi. W swoim domu urządził coś na kształt sali prób. Jedną z lokalnych kapel spotykała się tam, żeby grać. Zdarzało się, że organizował imprezy i grille. Nie był specjalnie lubiany. Zawsze z boku, cichy i spokojny. Mieszkał niedaleko miejsca zbrodni. Detektywi właśnie w tym dopatrują się największego błędu, jaki został popełniony w śledztwie w 2002 roku. Nikt wówczas nie zweryfikował, kim był człowiek ze sporządzonego dość wiernie portretu pamięciowego. Wystarczyło przejechać przez Wisłę, pokonać kilometr, żeby z Lisewa dotrzeć do Tczewa i rozpracować środowisko metalowców. Liczyło ono około stu osób. Co najmniej kilka z nich po przypatrzeniu się człowiekowi z portretu pamięciowego rozpoznałoby mężczyznę mieszkającego w wiatraku. Nie był anonimową postacią wśród metalowców. Miał opinię dziwaka i oszołoma. Przesłuchano jedynie dwóch metalowców, pytając, czy jeżdżą na rowerach, ale nie pokazując im sporządzonego portretu! Efektem tych błędów było wyciszenie się mordercy po pierwszym zabójstwie. Był jednak klasycznym seryjnym zabójcą seksualnym, dlatego żądza i potrzeba mordu powróciły dokładnie po trzech latach. Prawdopodobnie na wieść, że syn jest mordercą, ojciec Trojaka się powiesił.



GDAŃSK
– BRUTALNY NAPAD
NA APTEKARKE
W SŁUPSKU



1989 rok

Późne popołudnie 15 września, ulica Rybacka w Słupsku. W mieszkaniu na piętrze pojawił się nieznany mężczyzna, żeby sprawdzić licznik energii. Krótko rozmawiał z właścicielką, siedemdziesięcioletnią farmaceutką Jadwigą Morawiec, do której należała także apteka na parterze, oraz z jej o pięć lat starszą siostrą, Stanisławą Tyszko. Kilkanaście minut po jego wyjściu ktoś ponownie zapukał do drzwi. Gdy gospodyni nacisnęła klamkę, żeby sprawdzić kto to, do mieszkania wdarł się człowiek podający się wcześniej za pracownika elektrowni. Nie był sam. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn.

Napastnicy błyskawicznie obezwładnili siostry. Stanisławę pobito. W usta wepchnięto knebel z gazy i przywiązano przecieradłem do fotela w dużym pokoju. Jadwigę zaciągnięto do kuchni, skrępowano ręce przewodem elektrycznym, a nogi przecieradłem, którego koniec przywiązano do piekarnika kuchenki gazowej. Szyję owinięto bandażem elastycznym. Kobiętę obnażono. Później sprawcy dużym kuchennym nożem przypalali jej pośladki i twarz. Torturowali obie siostry. Żądali wydania złotych rubli. Stanisława wskazała miejsce przechowywania 300 tysięcy zł i zemdląca. Uratowało jej to życie, bandyci bowiem założyli, że kobieta zmarła. Po brutalnym napadzie i wyrzuceniu na podłogę zawartości komód oraz szuflad szafy stojącej w kuchni mężczyźni spędzili noc w mieszkaniu skatowanych sióstr. Wyszli następnego dnia o świcie, kradnąc sporych rozmiarów obraz olejny wyjęty z ramy oraz radio sieciowe nieustalonej marki.

Dopiero około południa Stanisławie udało się uwolnić z pętli i wyjść na korytarz. Tu zobaczyła ją listonoszka Rozalia Domulska, która przyszła, żeby dostarczyć emeryturę znanej i szanowanej w Słupsku aptekarce. Stanisława poinformowała listonoszkę, że Jadwiga została zamordowana. Domulska pobiegła do sąsiedniego domu, żeby powiadomić milicję.

Lekarz pogotowia ratunkowego, który jako pierwszy przybył na miejsce, stwierdził zgon Jadwigi Morawiec. Oględziny miejsca zbrodni trwały 48 godzin. Funkcjonariusze zabezpieczyli 73 ślady daktyloskopijne (odciski odkryto na szybie segmentu i meblach) oraz biologiczne (głównie włosy i niedopałki papierosów).

Sekcja zwłok wykazała: **Zgniecenia klatki piersiowej, rany ciężte szyi, liczne i rozległe podbiegnięcia krwawe całego ciała. Otarcia naskórka głowy i tułowia oraz liczne oparzenia drugiego stopnia pośladków, kończyn dolnych oraz szyi, złamanie prawej kości łokciowej, bruzdy i zasinienie z obrzękiem po silnym skrępowaniu obu przedramion,**

złamanie nosa, obrzęk mózgu, krwisty płyn w komorach. Obrażenia są skutkiem urazów tępych zadawanych narzędziem twardym, tępokrawędzistym, urazów zadawanych ostrym narzędziem oraz działaniem narzędzia o wysokiej temperaturze przykładanego do ciała. Rozległe zasinienia skóry, złamanie nosa, kości łokciowej, zgniecenie klatki piersiowej i otarcia naskórka pochodzą od silnych uderzeń i mogły powstać podczas kopania, uderzania pięściami, uderzania twardymi narzędziami i kolankowania. Rany cięte szyi i prawej dłoni pochodzą od narzędzia twardego i ostrego, w przypadku szyi rozmyślnie lekko przeciąganego po skórze w celu dręczenia ofiary, a nie z chęci zabicia jej. Rana cięta prawej dłoni mogła powstać przy obronie pokrzywdzonej. Oparzenia drugiego stopnia odpowiadają odciskom noża znajdującego w mieszkaniu denatki i noszącego ślady silnego rozgrzewania ostrza. Rozległy obrzęk i zasinienie obu przedramion poniżej zaciśnięcia ich kablem są skutkiem zaburzenia krążenia krwi i dopływu do rąk na skutek silnego skrępowania. Nie stwierdzono uszkodzeń narządów wewnętrznych ani zmian chorobowych, które mogłyby w konsekwencji spowodować zgon denatki. Wielokrotne złamania żeber II–XII po obu stronach, dające w praktyce zgniecenie klatki piersiowej, powodowały, że podczas wdechu klatka piersiowa zapadała się, zamiast unosić, co powodowało małą wentylację płuc i po pewnym czasie uduszenie się z powodu niedostatecznego dostarczenia tlenu do organizmu. Całość obrażeń świadczy, że denatka przed śmiercią była wielokrotnie bita i raniona oraz przypiekana gorącym nożem, zaś jej śmierć nastąpiła na skutek pobicia. Nie da się określić, jak długo denatka była dręczona i w jakiej kolejności zostały zadane obrażenia.

Jednakże na pewno nie żyła długo (godziny) po zgnieceniu klatki piersiowej. Stwierdzone na miejscu znalezienia zwłok wyczuwalne jeszcze w miejscach zakrytych ucieplenie skóry oraz wykryta częściowa przemieszczalność plam opadowych każe przyjąć, że zgon denatki nastąpił 10–12 godzin przed oględzinami w miejscu znalezienia zwłok. Zgon jest bezpośrednim następstwem ciężkiego pobicia przez osoby trzecie. Nie stwierdzono obrażeń, które mogłyby świadczyć o zadaniu ich celem spowodowania bezpośredniego zgonu.

Milicjanci szybko ustalili świadków. W dniu napadu Wacław Wroński, zatrudniony w aptece jako palacz CO, około godziny 16.00 zauważył, jak jedna z farmaceutek rozmawia z nieznanym mu mężczyzną: *Wiek 35 lat, 170 cm wzrostu, szczupły, twarz pociągła, cera ciemna, nos spiczasty, długi, włosy blond, krótko ostrzyżony, czesany na bok, kurtka koloru popielatego, spodnie w kolorze stalowym. Pytał, gdzie są liczniki energii lokatorów. Farmaceutka wskazała licznik apteki. Nie był nim zainteresowany, szukał liczników lokatorskich.*

Kilkanaście minut później Genowefa Śląska zobaczyła z okna dwóch mężczyzn wchodzących do klatki schodowej budynku apteki: *Pierwszy był ostrzyżony krótko, grzywka na języka, włosy ciemne, ubrany w beżowy sweter z zamkiem błyskawicznym, szczupły. Wzrost 185 cm, cera lekko opalona, oczy małe i ciemne. Zachowywał się dziwnie. Gestykulował, jakby był podenerwowany. Drugi mężczyzna był szczupły, nieco niższy od pierwszego, włosy blond, dość rzadkie i lekko kręcone, spadające na szyję. Grzywka zaczesana do góry. Cera jasna, blizny po trądziku. Ubrany w kurtkę, spodnie typu pumpy koloru brązowego. Mężczyźni ci kilkakrotnie wchodzili do klatki i wychodzili*

z niej. Gdy wchodząc, napotykali lokatorów, szybko wybiegali na deptak. Ślaska dostrzegła też palacza z apteki. Szedł z innym nieznanym jej mężczyzną: *Niski, około 165 cm, włosy jasny blond, uczesany na bok. Ubrany w zieloną krótką kurtkę. Rozmawiali o czymś, po czym palacz wrócił do swoich zajęć.* Kobieta potrafiłaby rozpoznać co najmniej jednego z tych trzech mężczyzn.

Około godziny 17.00 w dniu zabójstwa Grażyna Moskal, pomocnica w aptece, opuściła biuro kierowniczkę mieszczące się na pierwszym piętrze w sąsiedztwie mieszkania Jadwigi Morawiec. Naprzeciwko drzwi wejściowych do budynku, od strony wjazdu na podwórko, zobaczyła właścicielkę apteki. Kobieta rozmawiała z nieznanym mężczyzną. Pytała go, czego szukał. W odpowiedzi usłyszała, że liczników energii. Nadszedł palacz i to on wskazał liczniki. Mężczyzna sprecyzował, że chodziło mu o liczniki lokatorskie. Jego rysopis: *Wiek około 30 lat, 170 cm wzrostu, szczupła budowa ciała, włosy koloru ciemnego, ale nie czarne, proste, raczej uczesane do góry, średniej długości, twarz opalona, gładka. Ubrany był w kurtkę lub wiatrówkę koloru zielonego, zapinaną na zamek błyskawiczny.*

Podczas przesłuchania siostry ofiary milicjanci ustalili, że w lutym 1985 roku dokonano kradzieży w mieszkaniu Jadwigi. Aptekarka była krewną jednego z generałów armii carskiej. Kiedy przeniosła się do Polski ze Związku Radzieckiego, przywiozła ze sobą rodzinny skarb. Podczas remontu jej mieszkania Kazimierz Terka ukradł z szafy stojącej w kuchni 500 sztuk złotych pięciorublowek na łączną sumę 5 mln zł. Sąd Rejonowy w Słupsku skazał go na pięć lat pozbawienia wolności. Karę odbył w Potulicach. Został zwolniony przedterminowo. Wyszedł na wolność latem 1989 roku. Sprzedażą zrabowanych monet zajęli się Lech Janas i jego kuzyn Wiesław Rataj. Dostali wyroki w zawieszeniu. Po tamtej kradzieży wieść o zamożnej aptekarce szybko rozeszła

się wśród lokalnych przestępców. Dotarła także do zakładów karnych. Milicjanci domniemywali, że to właśnie rabunek rubli był celem napadu. Sprawcy nie interesowali się przecież innymi cennymi przedmiotami.

Stanisława nie była w stanie opisać napastników. Wciąż pozostawała w szoku pourazowym. Oświadczyła jedynie, że bandyci, kiedy plądrowali mieszkanie, nie mieli założonych na twarze pończoch ani kominiarek. Na podstawie wywiadów posesyjnych ustalono szczątkowe rysopisy napastników. Pozwoliły one na szerokie wytypowanie grona osób podejrzanych. Wykonane czynności nie dały żadnych rezultatów przy identyfikacji sprawców. Uzyskano tylko informacje, na podstawie których wnioskowano, iż ta sama grupa przestępcza, która dzień wcześniej napadła na mieszkanie innej mieszkanki Słupska, mogła dokonać zabójstwa Jadwigi Morawiec.

W pierwszym etapie śledztwa założono, że napadu i zabójstwa mogły dokonać osoby wywodzące się z miejskiego środowiska przestępczego lub czasowo przebywające na terenie Słupska. Bandyci uzyskali informacje o bogactwie aptekarki, nie sprawdzili jednak ich wiarygodności. Domagali się przecież wydania złotych rubli, które skradziono w 1985 roku. Wersja ta wykluczała, że jednym ze sprawców był człowiek, który cztery lata wcześniej zrabował ruble.

Kolejna hipoteza mówiła, że sprawcami napadu i zabójstwa były osoby spoza Słupska, wywodzące się z kręgu przestępców. O rzekomej zamożności sióstr mogły dowiedzieć się od ludzi mających związek z kradzieżą złotych monet w 1985 roku. Przeczutowano jednak, że napastnikami mogły być zupełnie inne osoby, których nie objęły pierwsze wersje typowania. Zostały one zidentyfikowane w trakcie późniejszego śledztwa prowadzonego przez detektywów Archiwum X.

Podczas pierwszego śledztwa jednemu z funkcjonariuszy udało się przeniknąć do miejscowych grup przestępczych i prowadzić

cenne obserwacje. Sprawdzeni zostali także wszyscy karani w okolicy. Rysopisy sprawców porównywano z portretami poszukiwanych przestępców. Milicja wpadła również na trop trzech mężczyzn, którzy dzień przed masakrą w aptecę włąmali się do domu innej kobiety. Zostali przesłuchani i daktyloskopowani, ale nie pasowali do profilu poszukiwanych. Śledczy uparcie trzymali się tezy, że mordercy pochodzili spoza miasta, a informację o zamożności aptekarki uzyskali od ludzi, z którymi zetknęli się w zakładach karnych. Wydawała się najbardziej prawdopodobna, gdyż podczas napaści siostra ofiary usłyszała fragment rozmowy napastników. Wynikało z niej, że pochodzili z południa kraju.

Dochodzenie trwało rok i zostało umorzone. W aktach odnotowano: *Pomimo przeprowadzenia szeregu czynności operacyjnych i śledczych w tej sprawie nie udało się ustalić i zatrzymać sprawców przestępstwa, a także nie odzyskać utraconego mienia.*

2005 rok

Detektywi Archiwum X wrócili do sprawy morderstwa Jadwigi Morawiec, analizując całe zajście i ślady zabezpieczone na miejscu zbrodni. Jedną z pierwszych czynności było zarejestrowanie wszystkich niezidentyfikowanych odcisków w systemie AFIS Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Gdańsku. Siedemnastego maja system wskazał trafienie. Odciski z domu aptekarki zgadzały się z kartą daktyloskopijną palców i dłoni należącą do Zygmunta Bagara, mieszkańca Słupska! Biegli szczegółowo przeanalizowali zgodność pozostałych odcisków ze śladów zabezpieczonych w trakcie oględzin. Ponad wszelką wątpliwość wykazali,

że należą do Bagara. Został wytypowany jako potencjalny sprawca zabójstwa aptekarki.

Z danych policyjnego systemu ewidencyjnego KSIP (Krajowy System Informacji Policji) wynikało, że mężczyzna był notowany i karany za przestępstwa z art. 191 par. 1 k.k. (Kto stosuje przemoc wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania, zaniechania lub znoszenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3), art. 203 par. 1 k.k. (Kto przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub wykorzystując stosunek zależności lub krytyczne położenie, doprowadza inną osobę do uprawiania prostytucji, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10), art. 208 k.k. (Kto rozpija małoletniego, dostarczając mu napoju alkoholowego, ułatwiając jego spożycie lub nakłaniając go do spożycia takiego napoju, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2) oraz art. 210 par. 1 k.k. (Kto wbrew obowiązkowi troszczenia się o małoletniego poniżej lat 15 albo o osobę nieporadną ze względu na jej stan psychiczny lub fizyczny osobę tę porzuca, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3). Przestępstwa, za jakie Bagar siedział w więzieniu w Potulicach, pasowały do profilu zabójcy. W latach 1987–1989 w Potulicach przebywał również Kazimierz Terka, który w 1985 roku ukradł z domu aptekarki złote monety.

Prokuratura okręgowa w Słupsku w lipcu 2005 roku wydała postanowienie o podjęciu umorzonego śledztwa. Funkcjonariusze Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku *zrealizowali zarządzenie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu podejrzanego do prokuratury*. Bagara zatrzymano w Słupsku i osadzono w areszcie śledczym. Przedstawiono mu dwa zarzuty.

Pierwszy: *15 września 1989 roku w Słupsku, działając wspólnie i w porozumieniu z dwoma osobami, po wtargnięciu*

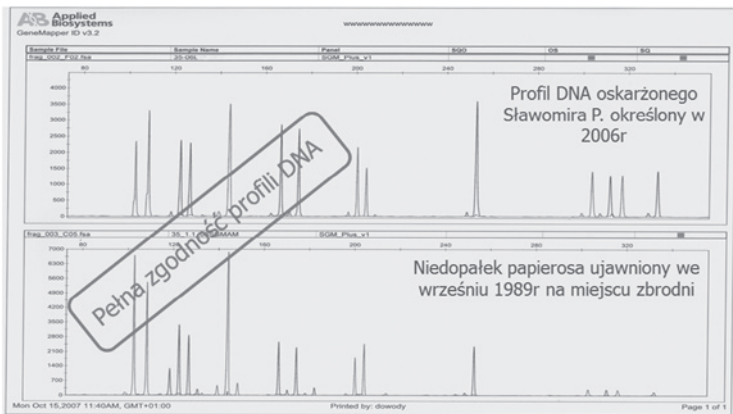
podstępem do mieszkania przy ulicy Rybackiej obezwładnił i pozbawił wolności ze szczególnym udręczeniem Jadwigę Morawiec, a następnie żądał od pokrzywdzonej wydania pieniędzy i kosztowności, przy czym przewidując i godząc się z możliwością pozbawienia życia poszkodowanej, uderzał ją rękami i kopał po ciele, a także dusił, unieruchamiając kolanami klatkę piersiową, krępując szyję oraz używając niebezpiecznego narzędzia w postaci noża i przedmiotów tępokrawędzistych zadawał ciosy w szyję i kończyny, tułów, głowę, powodował oparzenia poprzez przykładanie rozgrzanego noża do ciała, w wyniku czego Jadwiga Morawiec doznała obrażeń w postaci zgniecenia klatki piersiowej, ran ciętych szyi, licznych i rozległych podbiegnięć krwawych całego ciała, otarc naskórka głowy i tułowia oraz licznych oparzeń drugiego stopnia pośladków, kończyn dolnych oraz szyi, złamania prawej kości łokciowej, bruzd i zasinień po silnym skrępowaniu obu przedramion, złamania nosa, obrzęku mózgu, krwistego płynu w komorach serca, w następstwie których Jadwiga zmarła, po czym zabrał z jej mieszkania w celu przywłaszczenia obraz olejny oraz radio lampowe nieustalonej wartości.

Drugi: *W tym samym miejscu i czasie, działając wspólnie i w porozumieniu z innymi dwoma osobami, obezwładnił i pozbawił wolności ze szczególnym udręczeniem Stanisławę Tyszko, następnie żądał od pokrzywdzonej wydania pieniędzy i kosztowności oraz używając przemocy wobec niej w postaci grożenia nożem przystawianym do szyi, uderzania rękoma i kopania po całym ciele, w tym głowie, duszenia poprzez zakneblowanie jej ust gazą i materiałem płóciennym, spowodował obrażenia w postaci podbiegnięć krwawych twarzy, co naruszało*

czynności narządów ciała na czas poniżej dni 7 i zabrał w celu przywłaszczenia pieniądze w kwocie 300 tysięcy zł na szkodę Stanisławy Tyszko.

Podjerzany częściowo przyznał się do zarzucanych mu czynów, ale nie chciał wziąć odpowiedzialności za zbrodnię. Tłumaczył się mgliście. Mówił, że był w mieszkaniu Jadwigi Morawiec, ale nie uczestniczył czynnie w napadzie. Podał zmyślone nazwiska dwóch mężczyzn, którzy byli agresorami. Gdy dane okazały się fałszywe, Bagar zmienił zeznania, zastępując się brakiem pamięci. Przedstawił kolejne nazwiska domniemych współsprawców napadu. Próbował manipulować dochodzeniem i wprowadzać w błąd detektywów. W wyniku policyjnej

Archiwum X: Zabójstwo aptekarki w Słupsku w 1989 r. wykryte po 17 latach



Wynik badania porównawczego przeprowadzonego w laboratorium DNA.

Próbka zabezpieczonego śladu z miejsca zbrodni jest porównywana z wymazem pobranym z ust podejrzanego. Biegli wydają tylko jednoznaczne opinie. W laboratoriach próbki przechowuje się latami.

provokacji i działań operacyjnych (detektywi nie chcieli zdradzić jakich, prawdopodobnie przepytali znajomych i ludzi w świątku przestępczym, kto mógł w tamtym czasie „pracować” z Bagarem, albo blefowali w sprawie skradzionych złotych rubli, szukając na nie kupca) udało się ustalić personalia pozostałych dwóch bandytów. Byli nimi bracia Mirosław i Marian Pobielałowie, także mieszkańcy Słupska.

Śledczy sprawdzili, jak wyglądało ich obecne życie. Byli przykładowymi obywatelami, lubianymi i towarzyskimi. Mieli 51 i 45 lat. Do zatrzymania doszło jesienią. O świcie, żeby zastać podejrzanego w domu w jak najmniej korzystnym dla niego momencie. W akcji wzięły udział dwie ekipy. W policyjnym areszcie od zatrzymanych pobrano materiał biologiczny do porównania z DNA z niedopałków papierosów zabezpieczonych w mieszkaniu Jadwigi Morawiec. Detektywi mieli 24 godziny na potwierdzenie udziału braci w zabójstwie. Udało się to dzięki profesorowi Ryszardowi Pawłowskiemu z Zakładu Medycyny Sądowej w Gdańsku, który szybko określił cechy DNA zatrzymanych i porównał je z próbkami śladów zabezpieczonych w 1989 roku. Ich zgodność nie wywoływała żadnych wątpliwości.

Podczas przesłuchania, zanim policja otrzymała opinię prof. R. Pawłowskiego, mężczyźni do niczego się nie przyznali. Młodszy z braci utrzymywał, że ukradł obraz z domu aptekarki, ale po pewnym czasie go spalił, przywoływał w nim bowiem nieprzyjemne wspomnienia. W rzeczywistości starał się maksymalnie zatrzeć ślady. Kiedy biegły genetyk wydał opinię, jeden z bandytów przyznał się do udziału w napadzie, a potem szczegółowo opisał jego przebieg. Dodał także, że od momentu, gdy przeczytał w gazecie, że w Gdańsku powstaje Archiwum X badające niewykryte sprawy, był pewien, że wcześniej czy później trafią na jego trop.

W 1989 roku mężczyźni byli „drobnymi złodziejami”. Nic nie wskazywało, że mogą być zdolni do popełnienia tak ciężkiego przestępstwa. Przez piętnaście lat o zbrodni wiedziała jedynie żona jednego z braci. Nie mogąc znieść dręczących go myśli, zwierzył się jej. Kobieta mogła, zgodnie z prawem, odmówić zeznań. Za namową adwokata nie złożyła wyjaśnień. Mężczyźni w trakcie policyjnych przesłuchań obwiniali się wzajemnie. Udało się ustalić, że młodszy z braci był najmniej agresywny wobec ofiar. Dostał wyrok 15 lat więzienia. Pozostałych dwóch sprawców skazano na karę 25 lat pozbawienia wolności. Zostali także pozbawieni praw publicznych na 8 lat. Chociaż obrona wniosowała, aby sąd zmienił kwalifikację zbrodni na pobicie ze skutkiem śmiertelnym, sędzia pozostał nieugięty. Zaznaczył, że w okresie, w którym oskarżeni dokonali zbrodni, mogli zostać skazani nawet na karę śmierci.

§

*Rozmowa z Komarem i Meszką,
detektywami Archiwum X
w Gdańsku*

Archiwum X to ważna komórka policji?

Meszka: Można powiedzieć, że jesteśmy ostatnią linią obrony. Gdyby nie Zespoły do spraw Niewykrytych, nikt nie powracałby do starych nierozwiązanych śledztw, choć zawsze mają one końcową adnotację, że dochodzenie mimo umorzenia pozostaje wciąż w zainteresowaniu policji. Detektywi dochodzeniowo-śledczy mają tak dużo bieżących spraw, że naprawdę trudno byłoby im wracać jeszcze do tych, które trafiły do archiwum. Nie mają na nie czasu. My możemy poświęcić im całą swoją energię i czas.

Jak trafiliście do tej roboty?

M.: Kontynuuję tradycję rodzinną. Mama była policjantką. Namawiała mnie, żebym poszedł w jej ślady. Nie paliłem się do tej pracy, ale udało się jej skutecznie mnie przekonać.

Komar: Zdałem testy i się dostałem. Było to dosyć późno. Skończyłem prawo i, co do dziś jest mi wypominane, nie chciałem iść

nigdzie indziej. Kończąc kryminalistykę, doszedłem do wniosku, że bycie policjantem jest dużo ciekawsze niż bycie prokuratorem. Trafiłem akurat na okres, w którym trudno było się dostać do służby. To była pierwsza dekada XXI wieku. Kandydatów nie brakowało, ale udało się jedynie mnie i jeszcze jednemu koledze. Kiedyś podobno było łatwiej.

Mocno musiałeś zweryfikować swoje dotychczasowe wyobrażenia dotyczące pracy policyjnej?

K.: O tak. Inaczej wyobrażałem sobie robotę dochodzeniowca. Sporym zaskoczeniem była biurokracja. Żadne dochodzenie nie jest prowadzone „na gębę”. Policjant tworzy mnóstwo kwitów, na których w dalszej kolejności będzie opierać się proces dowodowy. Jednych to przeraża, innych przerasta. Ja odnalazłem się bez problemu.

Co jest najważniejsze w pracy śledczego?

M.: Nasze zaangażowanie. Policjantowi musi się chcieć. Ja i mój partner traktujemy prowadzone przez nas sprawy z pasją. Nie da się być dobrym policjantem, będąc jedynie urzędnikiem.

W waszym fachu istnieje jeszcze relacja uczeń – mistrz?

M.: Nie wiem, czy każdy odpowie twierdząco, ale osobiście miałem takiego mistrza, który nauczył mnie wszystkiego o zawodzie. Był to niezły już kierownik z komendy miasta. Wyśmienity fachowiec. Niestety, po przejściu na emeryturę dość szybko zmarł. Do Archiwum X wszedłem już ze sporym doświadczeniem. Zresztą taka jest zasada w każdej komórce. Obecnie nie ma chyba już niczego, co mogłoby mnie zaskoczyć.

A może wrażenie wciąż mogą zrobić błędy, które wywierają niekiedy ze starych spraw?

K.: Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Nie twierdzę, że sam ich nie popełniam. W starych sprawach, mając do nich spory dystans, szybko wyłapuje się błędy. Jednak nie można oceniać pracy sprzed lat z perspektywy dzisiejszych możliwości technologicznych i wiedzy o społeczeństwie, jaką mamy. Byłoby to niesprawiedliwe. Kiedy analizujemy stare dochodzenia, zauważamy błędy przy oględzinach, czasem przy przesłuchaniach. Najważniejsze, by umieć wyciągać z nich właściwe wnioski. Teraz mamy wysokie standardy procedur. Porównując do czasów sprzed transformacji, trzeba powiedzieć, że dokonał się gigantyczny postęp.

Kiedy można powiedzieć o sobie: „Jestem zawodowcem”?

M.: Cały czas się uczę. Mimo sporego doświadczenia nie mogę powiedzieć, że wiem wszystko. Czasem po kilka razy wracamy do jakiejś sprawy i zawsze pojawiają się nowe pomysły na to, jak ją rozwiązać. Musimy także pamiętać o wszystkich kruczках prawnych. Jest ich mnóstwo i to właśnie o nie najczęściej rozbija się śledztwo. Doświadczony policjant ma je w małym palcu i wciąż się uczy, bo rozporządzeń jest sporo i wciąż dochodzą nowe.

Co nowe pokolenie wniosło do policji?

K.: Głównie konformizm skutkujący takim oto podejściem, że po godzinie 15.00 wracam do domu i nic mnie nie interesuje. Żadne procedury nie będą miały sensu, jeśli nowi nie będą mieli takiego podejścia jak my. Nasza praca wymaga czasu. Jeśli zacinamy coś robić, wszystko musi być wykonane jak należy, dlatego ciągnie się każdą rzecz do końca; bez znaczenia, czy będzie to północ, czy świt. Jak będę zmęczony, wówczas przekazuję pałeczkę. Ale jeśli po południu słyszę, że ktoś musi już lecieć, lepiej żeby zmienił zawód.

M.: Jeśli myśli się tylko o tym, żeby jak najszybciej zakończyć jakąś czynność, na pewno odbije się to na jakości wykonywanej pracy.

Szefowie nie weryfikują, jak pracują ich podwładni w wydziale?

K.: Chyba dlatego nie będę nigdy naczelnikiem. (śmiech)

Były momenty zwrotne, chwile, w których żalowaliście, że zostaliście policjantami?

K.: Zdarzyły się. Człowiek zwyczajnie ma wszystkiego dosyć. Przez przeszkody, które wciąż się napotyka, niekompetencję czy ludzką niechęć. Myślisz sobie: kur... zarzynam się dniami i nocami, by z gówna ukręcić bat, a w rzeczywistości nikomu poza mną na tym nie zależy. Kryzysy szybko mijają i wraca się znów do pracy, będąc pełnym nadziei i wiary w sens tego, co się robi.

Co pomaga odnaleźć zapał?

M.: Czasem tak zwany zewnętrzny impuls. Prowadzisz jakąś sprawę, ona grzęźnie i zaczynasz czuć, że nic z tego nie będzie. Nagle widzisz albo słyszysz coś, co sprawia, że znów napełniasz się powietrzem niezbędnym, by doprowadzić wszystko do końca. Ja się tak nakręcam.

Jesteście samotnikami czy pracujecie drużynowo?

K.: Zaczynaliśmy we trójkę, ale jeden kolega odszedł na emeryturę. Na pewno jesteśmy samowystarczalni. Wychodzę z założenia, że nawet jeżeli mam coś spieprzyć, lepiej samemu i mieć potem pretensję tylko do siebie. Póki możemy ogarnąć wszystko we dwójkę, nie potrzebujemy nikogo więcej.

Jak ułożyć sobie życie prywatne przy takiej pracy?

K.: Jeśli pytasz o sprawy rodzinne, obaj jesteśmy w szczęśliwych małżeństwach. Mamy rodziny, jak wszyscy spotykamy się i wódkę pijemy, bo kto nie pije, jest podobno wyrotowcem. (śmiech)

Jak waszą pracę znoszą żony?

M.: Moja jest już przyzwyczajona do tego, jak wygląda moja robota. Nie stanowi to żadnego problemu, nawet kiedy zdarza się, że pracuję tydzień bez przerwy. Uregulowane życie rodzinne daje duży komfort. Można się skupić na tym, co się robi, a nie zastanawiać ciągle, co mnie dziś czeka w domu. Żona mnie wspiera. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie rozumiała specyfiki mojej służby. (śmiech)

K.: Moja żona przede wszystkim nie dopytuje się cały czas o sprawy związane z moją pracą. Jeśli chcę jej o czymś powiedzieć, mówię. Nigdy nie miałem problemów wynikających z charakteru mojej pracy. Może ciut łatwiej było w czasach, kiedy nie mieliśmy dzieci. Gdy byłem w sekcjach roboczych, do domu wracałem jedynie po to, żeby chwilę się przespać. Ale jechałem z powrotem z przyjemnością. Obecnie nie mam już tych kilkudniowych ciągów, jednak mimo wszystko brakuje czasu dla najbliższych.

Zabieracie robotę do domu?

M.: Niestety, tak. Generalnie pion kryminalny ma najtrudniej. Patrolówka kończy spisywanie, chowa mundur do szafki i ma wolne. U nas jest inaczej, zwłaszcza gdy dochodzi do jakiejś realizacji, zawsze pojawia się pytanie, czy wszystko, co powinno, zostało zrobione? Nawet jeśli pracujemy analitycznie przy aktach, w domu jedząc obiad czy odrabiając lekcje z dzieckiem, myślisz, co jeszcze można zrobić w prowadzonej sprawie.

K.: Niedawno czytając książkę, notabene kryminalną, już po pierwszym rozdziale miałem projekcje dwóch spraw, które prowadzimy. Zasugerowałem się, że detektyw z powieści zrobił coś,

co my także powinniśmy zrobić. A przecież to tylko fikcja. Takie sytuacje bywają męczące.

Jak odreagowujecie zło, z którym spotykacie się na co dzień?

M.: Nie czuję, że jakoś specjalnie trzeba je odreagowywać. Lubimy chodzić na mecze Lechii. Wspólne piwko, kiedy można pogadać o pierdołach niezwiązanych z pracą, też jest mile widziane.

K.: Umawiamy się za każdym razem, kiedy grają, ale nie zawsze uda się nam spotkać. (śmiech) Mamy też rodziny i obowiązki. Praca w Archiwum nie obarcza nas aż tak mocno psychicznie.

Powiedzielibyście o sobie, że jesteście twardzi, ponieważ nie ruszają was trupy i mordercy, z którymi macie do czynienia?

M.: Kiedy widzisz zwłoki dziecka, trudno powiedzieć o sobie: twardziel. Zwłaszcza jeśli ma się własne dzieci. Dystans maleje, kiedy zakłada się rodzinę. Dobrym przykładem jest sprawa, o której rozmawialiśmy.

K.: Są tacy policjanci, którzy wcale nie jeżdżą „na trupa”. Po prostu odmawiają. Dlatego przenoszą się do samochodówki albo PG (przestępstwa gospodarcze). Trzy lata temu byliśmy na sekcji zwłok rodziny z Gdańska. Było tam półtoraroczne dziecko, wówczas cztery miesiące starsze od mojego syna. Był to jedyny raz, kiedy musiałem wyjść. Wcześniej może bym dał radę. Ale jako ojciec już nie.

Pamiętacie pierwsze zwłoki?

M.: To się będzie pamiętać do końca życia. Była to podwójna sekcja. Mąż zabił żonę, po czym rzucił się z dziesięcioletniego falowca. Starłem się wtedy nie okazać słabości.

Co jest gorsze: sekcja czy oględziny?

M.: Sekcja jest cięższa. Oględziny robię zawsze z przyjemnością. Skupiam się maksymalnie na pracy i moich zadaniach. Jeśli ekipa jest zgrana, nie dociera do nas żadna makabra. Czysty profesjonalizm.

Po co policjant bierze udział w sekcji?

M.: Głównie po to, żeby dopilnować prawidłowego zabezpieczenia wyskrobin, odzieży itp. A także, żeby w niektórych sprawach nie zabrano rzeczy podczas sekcji zwłok, np. taśmy, którą skrepowane były ręce ofiary.

K.: Wszystko musi być przebadane w laboratorium, żeby potem nie tworzyć mylnych hipotez. Nam się coś może wydawać, ale liczą się tylko fakty. Nasza obecność jest fakultatywna, zawsze musi być prokurator. Policjant na sekcji dba o to, żeby zabezpieczyć wszelkie możliwe dowody. Dowiadujemy się także natychmiast, co jest przyczyną zgonu.

Policjant prowadzi w biegu po kilkanaście, kilkadziesiąt spraw jednocześnie. Dlatego wydział dochodzeniowy jest traktowany jako zesłanie, z którego trafia się później do przyjemnego Archiwum X. Jak radziliście sobie z tyloma obowiązkami?

K.: To gigantyczna fabryka. Czasami zdarzało się, że koledzy mieli nawet 70 spraw: drobnych, poważniejszych i ciężkich. W wielu przypadkach niemożliwe było odzyskanie skradzionego telefonu czy niedużej kwoty pieniędzy. Mimo to wszystko prowadzi się z zachowaniem wszelkich procedur. Wszystko trwa. Nie licząc rozbojów i zabójstw, sprawy dotyczące przemocy w rodzinie są najbardziej czasochłonne. Trzeba przepytwać wielu ludzi i rozesłać tonę dokumentów. Zaczynałem w komendzie miejskiej, do której trafiają cięższe sprawy. Automatycznie było ich więc

mniej. Najwięcej miałem kilkanaście spraw naraz. Jednak nie czułem się przygnieciony robotą. Dało się wszystko zrobić i doprowadzić do wyjaśnienia. Inna kwestia to skrzywienie zawodowe wynikające z intensywności wykonywanej pracy. Człowiek staje się podejrzliwy. Czasem przyglądam się niektórym osobom i zachowaniom. Codziennie mijam co najmniej dwie osoby, które są bardzo podobne do poszukiwanego z portretu pamięciowego. Mam ochotę je zaczepić i zapytać, co robiły danego dnia. Nie ma co ukrywać, policjanci także mają swoją chorobę zawodową.

Społeczeństwo was szanuje i zawsze chętnie współpracuje ze śledczymi?

K.: Bywa różnie. Przy starych, archiwalnych sprawach nie spotkałem się z nieprzychylnymi postawami. Nawet jeśli przychodzi do kontaktów z tzw. elementem. Inaczej jest w przypadku zamkniętych lokalnych społeczności. Tam młotem udarowym trzeba przebijać się przez mur milczenia, bo to tak hermetyczne środowiska. Oni nawet nie muszą specjalnie wszystkiego uzgadniać, żeby stworzyć ten wspólny front. Po prostu tak mają. Odpowiadają ogólnie, a jeśli sam nie dopytasz, niczego od siebie nie dodadzą. Śmiejemy się, że trzeba stosować tam metody inkwizycji.

M.: Opór materii wynika także z poziomu intelektualnego.

Gdańsk ma własną specyfikę kryminogenną?

K.: To miasto portowe, które było kiedyś naszym oknem na świat. „Wiatr zmian wiał z północy”. W naszej pracy stykamy się jednak ze sprawami z całego Pomorza. Szczerze powiedziawszy, zabójstwa z miast powiatowych nie różnią się specjalnie od tych dokonywanych w Gdańsku i okolicach. Ktoś kogoś dźgnął nożem pod sklepem i nikt nic nie widział. We wsiach z kolei mamy dziwne okoliczności zabójstw. Nazwałbym je absurdalnymi.

Dodatkowo podejście ludzi jest inne; przymiotnik „rytualne” nie jest może najtrafniejszy, ale we wsiach ludzie mają większą tolerancję dla morderstw. Jakby nie były złe. Po prostu ktoś umiera, naturalnie czy od noża nie robi większej różnicy. W ponad stu nierozwiązanych śledztwach z ostatnich 30 lat mamy zabójców seksualnych, porachunki, gangsterskie wendety i całe mnóstwo banalnych zgonów. Jest tam wszystko.

M.: Najczęściej to kłótnie domowe, burdy alkoholowe lub morderstwa całkowicie pozbawione motywu. Ktoś chwycił za nóż i zabił bez powodu.

Mam teorię, że właśnie te ostatnie przypadki stanowią zbrodnię doskonałą.

K.: Zgadza się. Nie ma wówczas świadków ani żadnych namacalnych dowodów, żadnych punktów zaczepienia. Do tego ofiary bywają ludźmi, którzy nie mieli żadnej historii.

M.: Czasem niektórzy się dziwią, że na miejscu zbrodni nie zostają żadne ślady. Teoretycznie nie ma zbrodni doskonałej. Jednak bywają zabójstwa, gdzie nie ma praktycznie nic. Nawet jeśli dałoby się uzyskać informację, kto jest sprawcą, dalej jest ściana, no bo jak mu udowodnić winę.

Kluczowe będzie przesłuchanie.

M.: Jeśli masz do czynienia z kimś, kto już stykał się z policją, nie powie i do niczego się nie przyzna.

K.: Przez pewien czas myślałem, że nie ma zbrodni doskonałej, tylko są źle przeprowadzone śledztwa. Nie jest to cała prawda. Oczywiście zdarzają się błędy popełnione przez śledczych, których potem nie da się naprawić, choć nasz wydział jest dowodem na to, że czasem jest to możliwe. Bywają także dziwne zbiegi okoliczności działające na korzyść sprawców. Choćbyśmy stawali na rzesach, nie da się z tym nic zrobić. Zbrodnia doskonała jest

wymysłem literackim. Mamy czasem do czynienia z morderstwami, których nigdy nie wykryjemy z powodu wielu czynników, o których wspomnieliśmy. Tyle.

Trudno się z tym pogodzić?

K.: Z niektórymi nawet bardzo trudno. Miałem taką sprawę, która się już przedawniła. Często powraca też problem: zgubione dowody rzeczowe. Co z tego, że udało mi się wycisnąć prawdopodobnie DNA sprawcy, skoro w sprawie były jeszcze palce, czyli zabezpieczone odciski. Były, ale je wciąło. Po 29 latach, rok przed przedawnieniem, byłem naprawdę blisko. Niestety, w bazie GENOM nic się nie znalazło, bo facet może nigdy nie wpadł albo do tej pory nie udało się wyizolować jego DNA i zarejestrować w tym systemie. Dużo większe prawdopodobieństwo, że popełnił kiedyś jakieś przestępstwo i zarejestrowano jego linie papilarne. Może by coś wyszło i wtedy DNA wyprowadzone ze śladów porównalibyśmy z podejrzanym. Niestety, musiałem wywieść białą flagę.

Pozostaje gorycz porażki?

K.: Na takich sprawach sporo się uczymy. Ta wiedza później się przydaje.

M.: Ta gorycz jest do przełknięcia, jeśli uczciwie zrobiło się wszystko, co było do zrobienia. W pewnym momencie trzeba odpuścić, procentuje to jedynie wnioskami, które, podkreślam, zawsze się przydają.

Dlaczego tyle słyszę o znaczeniu szczęścia w waszym fachu? Nie najlepiej świadczy to o policji.

K.: Nie wiem, na czym miałyby polegać to szczęście, na trafieniu w AFIS-ie? Nie jest to żadne szczęście, tylko trafienie w systemie, który właśnie do tego powstał.

M.: A trafienia biorą się stąd, że ktoś kiedyś dobrze wykonał robotę na oględzinach. Przyłożył się, żeby zabrać jak najwięcej z miejsca zbrodni. To potem procentuje.

K.: Bardziej możemy mówić o nieszczęściu, bo czasem nie możemy rozwiązać sprawy. Szczęście to trafienie w totolotka.

Często strzelacie?

M.: O, fajnie byłoby sobie wpaść na strzelnicę. Co pół roku musimy przejść egzamin strzelecki. To chyba tyle w kwestii użycia broni.

K.: Jest taka scena w „Pitbullu”, kiedy Gebels przychodzi na strzelnicę, a facet w okienku mówi mu: „Ja też bym chciał”. Tak to można spuentować. Jeśli mielibyśmy warunki raz w tygodniu pojechać i poćwiczyć strzelanie, na pewno bym był na strzelnicy.

Użyliście kiedykolwiek broni w akcji?

M.: Na szczęście do tej pory jeszcze nie musiałem tego robić. Nie mam nikogo na sumieniu. Nie prowadzono wobec mnie dochodzenia w sprawie użycia broni. W tym przypadku jesteśmy poważnie na przegranej pozycji, bo firma zawsze będzie się starać wykazać, że użycie broni było niezasadne.

K.: Czasem wchodziło się na jakieś przeszukanie, mając w ręce wyciągniętą i odbezpieczoną broń, ale też nigdy nie musiałem z niej strzelać.

Firma nie zawsze stoi za wami murem?

K.: Niestety, nie jest u nas tak jak u lekarzy. Policjanta wyjątkowo łatwo udupić.

Chcecie powiedzieć, że policjantowi można bezkarnie dać w mordę, a on nie odda, bo się boi procedur?

M.: My nie możemy oddać. Staramy się jakoś sobie z tym radzić.

K.: Ryba psuje się od głowy. Nasza struktura jest jak domek z kart, który łatwo się przewraca, kiedy przychodzą kolejne wybory.

Czyli jesteście zwykłymi pracownikami umysłowymi?

K.: Czasem machamy też łopatą albo dźwigamy dowody. (śmiech)